

JAN WOŁYŃSKI

Kpr. Jan Wołyński, ur. w 1916 r.

Mieszkałem z ojcem w osadzie i pracowaliśmy na roli. Ojciec, jako że brał udział w wojnie w 1914 r. i jako plutonowy, nie zważając na to, że jest już stary, walczył w wojnie w 1920 r., dostał osadę.

Pewnego dnia wyjechaliśmy ze starszym bratem po zakup siana dla koni i bydła. [Gdy] wracaliśmy z podróży [i] dojeżdżaliśmy do swej zagrody 10 lutego o godz. 7.00 rano, wtem zatrzymał nas wysoki drab z naganem w ręku. Poznaliśmy go, był to NKWD-zista bolszewicki. Poprowadził nas do jednego z domów osadników, gdzie już był nasz ojciec, matka, młodszy brat i wielu innych osadników. Jak później dowiedziałem się od ojca, przyjechali w nocy, postawili ojca starca i brata przy ścianie z podniesionymi w górę rękami i szukali broni. Z domu nic nie dali zabrać, tylko to, co [każdy] wziął na siebie. Zaprowadzili nas pod bagnetami na stację, posadzili w zakratowane wagony towarowe.

Podróż była straszna, nie wiedzieliśmy, dokąd nas wiozą. Na stacjach pociąg zatrzymywał się i tam przynosili nam po kawałku chleba i wody. Pewnego dnia, gdy otworzyli drzwi, żeby podać wodę, zobaczyliśmy inny świat – zobaczyliśmy gromadki jakichś obdartusów przyglądających się nam. Poznaliśmy, gdzie jesteśmy, bo wszędzie nas witano słowami: *polskie pany*. Po upływie miesiąca wysadzono nas w lesie, a tam popędzono dalej. Doszliśmy do miejsca przeznaczenia, lecz nie wszyscy, bo kilka osób padło od mrozu i głodu.

Zamieszkaliśmy w archangielskiej *obłasti*, *onieżskij rajon*, posiołek Tuszyłowo: baraki z desek, zimno, pluskwy i inne robactwo. Norma: wyrobić sześć kubametrów. Pracowaliśmy w lesie, a zarobek wynosił od półtora do dwóch rubli na dzień i z tego trzeba [było] kupić 600 g chleba, ubranie, a *nieroboczemu* [dawali] 400 g chleba; była też zupa – 15 groszy [za] porcję – z suszonej ryby przepuszczanej przez maszynkę i tak gotowana.

W tę zimę wynosiliśmy po trzy trupy każdego dnia. Gdy nieśliśmy trumnę i śpiewaliśmy pogrzebową pieśń, wybiegał NKWD-zista z rewolwerem, żeby nie śpiewać. Do 1 września było nas w jednym miejscu 135 rodzin, później 35 rodzin wyjechało na drugi *lesopunkt* do posiołka Połowina.

Ludzie chorowali strasznie, doktorka przyjeżdżała co dwa tygodnie, ale zwolnienie tylko ten mógł dostać, kto był już prawie umierający.

NKWD co noc przyjeżdżało i po nocach wzywali do siebie i prowadzili swoje *doprośy*, lecz naród był twardy, więc przystawiali rewolwery do skroni i krzyczeli *prziznajsia* – jednak to też nie skutkowało. Ludzie nasi żyli ze sobą jak jedna rodzina.

Komunikacja z Polską była ciężka, listy rzadko dochodziły.

[NKWD-ziści] robili zebrania i trajlowali, że Polski już nigdy nie będzie, że jak włos nie wyrośnie na dłoni, to tak Polski nie będzie. Za niewyjscie na robotę nie dostawało [się] chleba i sadzali za jeden dzień od trzech do sześciu miesięcy.

Pewnego dnia przyjechała cała banda jakichś *naczalników* i namawiali, żeby przyjąć obywatelstwo sowieckie, [mówili,] że dadzą dobrą pracę, ubranie itp. Wtem wstaliśmy wszyscy jak jedna osoba na tym zebraniu i powiedzieliśmy im, że nie jesteśmy bolszewikami, tylko Polakami, bo między nami było tylko parę osób ruskich (Białorusinów), ale też ludzie z wiarą i z sercem ku Polsce. W parę dni po tym zebraniu aresztowano cztery osoby, nazwiska ich: Długołęcki, Bajkowski, Jawoszko i pani Wiatrowa. Potem wszystkim pogorszyło się: nie wolno było nam śpiewać po polsku ani zbierać się [w] większe kupki w barakach, wszędzie nas śledzili.

Z powodu głodu i zimna ludzie wyglądali strasznie. Czasem rzucał się jak zwierzę człowiek na komunistę i kładł go trupem na miejscu i tak go schował, że nie wiedzieli, gdzie się podział, tylko mówili między sobą, że uciekł do Finlandii.

Gdy wybuchła wojna z Niemcami, strzegli nas lepiej, nie wolno było nigdzie się oddalać. Po umowie polsko-sowieckiej troszkę nam zwolnili, dowiedzieliśmy się, że organizuje się nasza armia. Każdy rwał się na gwałt, lecz oni nie puszczali. Poszliśmy więc do komendanta rejonowego po dokumenty, żeby stamtąd wyjechać. Nic z tego. Pewnego dnia Hardziej, nasz Polak, pojechał ukradkiem do Archangielska, gdzie, jak dowiedzieliśmy się, był nasz konsul, i tę sprawę poruszył. Po przejrzeniu spisów ludności polskiej [okazało się, że] nasz posiołek nie był podany do spisu.

W pewien piękny zimowy dzień przyjechało kilku NKWD-zistów, przywożąc nam tzw. *udostowierienija* i wpisywali w nie, dokąd kto chciał jechać. Mnie zapisali na południe. Do wyjazdu podwód nie dali[, mówili:] „Idź piechotą”, więc zabrałem się z rodziną pieszo. W drodze napotkaliśmy robotników, którzy nas podwieźli. Za moim przykładem poszło więcej ludzi. Doszliśmy szczęśliwie.

Jechaliśmy towarowymi wagonami, chleb dostawaliśmy w placówkach. W drodze było jeszcze gorzej: brud i choroba. Pewnego dnia wybiegłem z wagonu za chlebem, po prostu żebrząc, bo placówki nigdzie blisko nie było. Poszedłem do jakiegoś naczelnika NKWD, żebrząc o chleb. Powiedział: „Niech da polska *właść*, »polski rząd«” – i z tym odszedłem w kierunku, gdzie stał nasz transport, lecz niestety transportu już nie było, odszedł.

I tak, tułając się bez chleba i dokumentu, który został w wagonie, dojechałem do Guzaru [G'uzoru], gdzie formowało się nasze wojsko. Wstąpiłem i ja. W wojsku dowiedziałem się od znajomych, że ojca rozstrzelali w drodze, gdy jechał na południe. Jakoby ojciec powiedział, że pomsta będzie niedługo. Wyprowadzili go z wagonu na oczach matki, zbrodniarz wsadził kulę w piersi ojca. Z Guzaru [G'uzoru] wyjechałem pod dowództwem rtm. Nowickiego do Palestyny.